WITAJCIE W CIĘŻKICH CZASACH: ORCHID

Dla Magdy

Płacz dziecka. Tym razem nie był denerwujący, niespodziewany, wybijający z równowagi. Był jak najbardziej oczekiwany. Głośny płacz nowonarodzonego człowieka, który jeszcze nie rozumie czym jest smutek i ból, czym jest ciężka praca, czym jest walka o przetrwanie. Czym jest życie na pustkowiach, jedyne jakie otrzymał i jedyne jakie będzie mógł wykorzystać. Ale nikt w małym i ciemnym pokoju nie zaprzątał sobie tym głowy, kobieta leżąca na łóżku w końcu mogła odetchnąć po tytanicznym wysiłku jaki musiała wykonać, a mężczyzna, uśmiechnięty, trzymał w rękach swoje małe, czerwone od płaczu i krwi dziecko, i nie potrafił się nim nacieszyć, patrzył na nie z dumą i radością, jakby było ono największym darem dla ludzkości. Kiedy podniósł je trochę wyżej i lepiej mu się przyjrzał, ucieszył się jeszcze bardziej.

- To chłopiec.

- Podejdź, pokaż mi go. - odpowiedziała uśmiechnięta kobieta.

Mężczyzna podszedł do niej i oddał małego w jej ręce, a sam przysiadł obok i z zadowoleniem obserwował swojego syna. Matka przytuliła dziecko do twarzy umazując policzek krwią, ale nie przejęła się tym. Trzymała go blisko siebie i szeptała mu słowa ukojenia do małego ucha. Niemowlę, z powodu jakiegoś nieznanego uczucia, przestawało płakać, obejmujące je ramiona i ciepło bijące z tej osoby sprawiały, że mogło czuć się bezpiecznie. Dziecko wtuliło się w policzek matki wyrażając tym samym swoje uczucia. Właśnie w tej chwili cała trójka odnalazła spokój, spokój, którego poszukiwała i którego potrzebowała. Spokój, którego na pustkowiach zawsze brakuje.

*****

Chłopiec siedział przed domem i strugał gruby, drewniany kij, tak jak nakazał mu ojciec. Prawdę mówiąc, nie lubił tego. Było z tym dużo nudnej roboty, której nie chciało mu się wykonywać. Poza tym wiedział, że będzie musiał iść z nim na polowanie. Nie lubił polowań.

Bał się na nie chodzić, wciąż pamiętał kiedy ta "pieprzona jaszczurka" prawie zabiła jego ojca. Choć on sam mówił potem, że to nic takiego i, że z pewnością nic by się nie stało, chłopiec pamiętał jak on wtedy wyglądał. Twarz zniekształcona w grymasie potwornego przerażenia, szeroko otwarte, przestraszone oczy i rozwarte, okropnie krzyczące usta. Chłopiec słyszał ten krzyk w nocy, w swoich snach i widział jak gruba gałąź, która wtedy była ułamana, jest teraz

prosta i zdrowa. Nie spada na plamiaka, a ten w morderczym szale rozszarpuje brzuch ojca, wyrywa wnętrzności, bryzgająca krew trafia na małego chłopca, który nie wie co zrobić i patrzy na tę okropną scenę, jak jaszczurka wyciąga w zatrzaśniętym pysku długie i czerwone organy wewnętrzne, nagle przestaje, odwraca się powoli i zauważa go, po czym naskakuje i na niego - sen się kończy. Teraz nie śni się tak często, jak wtedy, ale o takich snach trudno zapomnieć. Szkoda, że ojciec tego nie rozumie i zabiera go często ze sobą. Mówi, że to ważne, że jego może kiedyś nie będzie i kto wtedy zaopiekuje się domem i matką? Jeśli coś mu się stanie, to nikt im nie pomoże, będą zdani na siebie, dlatego chłopiec musi umieć zdobywać jedzenie. Ale po co, przecież dom zbudowany jest blisko szlaku karawan, przecież tu odpoczywają, tu czasem nocują i płacą za to, przecież właśnie przez to, że dom jest tak blisko zbudowany tego cholernego szlaku, mają więcej kłopotów niż pożytku. Ile razy już, bandyci próbowali ich stąd przegonić? Gdyby mieszkali bliżej lasu, byłoby bezpieczniej i chłopiec nie musiałby chodzić na te głupie polowania. No tak, ale wtedy skąd brałby pieniądze na jedzenie, jeśli karawany nie robiłyby tu sobie przystanku? Mógłby wyruszać z nimi do miasta i brać pieniądze za pomoc. A czemu mieliby mu płacić, skoro nie umie ani polować, ani strzelać? Raczej braliby go ze sobą i po prostu się nim opiekowali, niżby on opiekował się nimi. No to coś by wymyślił. To dobrze, ale do czasu aż nic nie wymyśli, mieszka w domu ojca i jego będzie się słuchać i będzie chodzić na polowania razem z nim.

Chłopiec uderzył ze złości kijem w ziemię i rzucił swój nożyk przed siebie. Nie chciał tam iść. Nie chciał zabijać.

Sięgnął po książkę leżącą obok niego. Brudne, brązowe, lekko podarte strony świadczyły o jej wieku, który z pewnością przekraczał wiek jego matki, a nawet ojca. Chłopiec nie wiedział, co oznaczają te śmieszne małe czarne znaczki, na które jej właściciel, wędrowny kupiec, mówił litery. Rodzice chłopca też tego nie wiedzieli, ale on się tym nie przejmował. Nieważne było, co one oznaczają, jego interesowały tylko obrazki. Właściwie interesował go tylko jeden obrazek. Ręcznie narysowany obrazek fioletowego kwiatu, który kształtem przypominał trochę gwiazdę. Dwa boczne płatki były największe i rozchylone, zasłaniały drobne częsci pozostałych trzech płatków, jednego górnego i dwóch dolnych. Każdy z nich był odrobinę pochylony do przodu, jakby kwiat czegoś nasłuchiwał lub zapraszał. A w samym jego środku znajdował się rozwarty woreczek, pełen małych ciemnoczerwonych kropek, z którego wystawał krótki języczek, tak jakby owy kwiat żartował z czegoś, był rozbawiony. Chłopiec lubił patrzeć na ten obrazek, zawsze sprawiał, że nieważne co by się nie działo, poprawiał mu humor. Często do niego mówił, mając nadzieję, że mu odpowie, pomoże, złapie za rękę i wciągnie do książki, do swojego świata, pełnego zadowolonych kwiatów, w którym nie trzeba chodzić na polowania, i w którym nie trzeba ryglować drzwi w nocy, w którym można spokojnie spać, w którym nikt ze sobą nigdy walczy.

Ale kwiat nie chciał go tam zabrać.

Nie winił go. Wiedział do czego zdolni są ludzie. Domyślał się, że pewnie i kwiat o tym wiedział i choć bardzo go lubił, to pewnie nie mógł mu pozwolić na to, żeby trafił do jego

świata. Mimo wszystko, w niektórych chwilach, bardzo rzadko gniewał się na niego z tego powodu. Niektóre sytuacje, o których nie lubił myśleć, wymagały ingerencji kwiatu, ten jednak, wciąż nic nie robił, w niczym nie pomagał, jakby ignorował jego prośby. Choć takie myśli szybko mu przechodziły - rozumiał, że jako człowiek nie ma prawa prosić go o pomoc - to jednak czasem miał mu to za złe przez długi czas. Przecież on był inny od reszty ludzi, on nie chciał polować, nie chciał zabijać, chciał żyć. Po prostu żyć, nie robić nikomu na złość, nie robić nikomu krzywdy, nie robić nic, co uznane byłoby za coś złego. Po prostu żyć.

Drzwi domu zaskrzypiały - obwieściły posępnie, że ojciec wychodzi. Chłopiec szybko wstał i podbiegł do miejsca, w którym po jego rzucie wylądował nożyk.

- Mówiłem ci, że nie masz się bawić, tylko masz naostrzyć kij. - powiedział stanowczo ojciec.

- Ostrzyłem. Nie mogłem go przenieść przez jedno miejsce i mi wyskoczył. - odbąkał niepewnie chłopiec.

- Ach tak? To pokaż mi kij, zobaczymy czy w ogóle się za to wziąłeś.

Chłopiec podszedł do kija ze spuszczonymi rękami i głową. Wziął go do ręki i sam najpierw mu się przyjrzał. Nie wyglądał bardzo źle, ale wiedział, że ojcu się nie spodoba - Proszę. - podał mu przyszłą broń.

- No cóż - odpowiedział oglądając kij - chyba masz szczęście, twoja wymówka wydaje się być prawdopodobna. Daj mi nóż, sam z nim skończę.

Ojciec ostrzył kij przez jakiś czas w ciszy.

- Zastanawia mnie, czemu tak nie lubisz polowań. Kiedy ja byłem mały, bardzo lubiłem wybierać się z ojcem do lasu.

- Nie wiem.

- I w tym problem. Bo ja też nie wiem.

Chwila ciszy.

- Boisz się tam chodzić? Przecież wiesz, że tamto to był przypadek.

- Nie o to chodzi.

- A o co?

- Ja po prostu nie chcę zabijać.

Ojciec westchnął i odłożył nożyk - Nikt nie chce. No, może oprócz tych pieprzonych najeźdźców, nie mów mamie, że powiedziałem pieprzonych. I sam też nie powtarzaj. Nikt nie chce zabijać. Ale trzeba to robić.

- Czemu?

- Już ci mówiłem. Musimy coś jeść.

- Możemy jeść rośliny.

- No, możemy. Ale musimy jeść też mięso.

- Czemu?

- Bo mięso jest zdrowe. Spójrz na plamiaki, czy one jedzą rośliny?

- Nie wiem.

- Nie, one też polują, na mniejszych, na większych. Jeśli plamiaki muszą jeść mięso, to i my musimy.

- Plamiaki to zwierzęta.

- W pewnym sensie ludzie to też zwierzęta. Tylko trochę mądrzejsze. No, ale pomyśl, gdybyś stanął teraz oko w oko z głodnym plamiakiem, to czy on powstrzymałby się, przed zaatakowaniem cię?

- Nie wiem. - odparł chłopiec, chociaż tak naprawdę znał odpowiedź.

- Nie. Zjadłby cię w try-miga, bo jesteś taki mały i chudy - ojciec dał mu kuksańca - Plamiak nie myśli czy zada tobie ból, czy nie. To zwierzę i jeśli chce jeść, to będzie jeść. Plamiak nie będzie się zastanawiał czy jesteś ładny, czy nie, rzuci się na ciebie bez litości. Dlatego nie powinieneś martwić się ich losem, bo one nie martwiłyby się twoim. Tak to już jest na świecie, każdy dba o siebie. A jeśli się nie przystosujesz, to nikt się tobą nie zaopiekuje. Dlatego kiedy mnie ani mamy nie będzie, będziesz musiał umieć o siebie zadbać. Rozumiesz?

- Chyba tak.

- Cieszę się. No, to chodź, kij jest gotowy. Może w lesie znajdziemy któryś z tych twoich fikuśnych kwiatów.

- Nie wydaje mi się. Szukałem za każdym razem i żadnego nie było. Ale kto wie? - w odpowiedzi było tylko pół prawdy. Jedyną rzeczą jaką chłopiec lubił w polowaniach, było właśnie poszukiwanie kwiatu. Za każdym razem jego serce napełniała nadzieja, że go odnajdzie i choć jeszcze nigdy mu się to nie udało, nie poddawał się, wierzył, że on gdzieś tam na niego czeka, i że w końcu go spotka.

*****

Wschodzące, poranne Słońce zaczęło oświetlać las. Zielone drzewa oblały się złotem, ale wewnątrz wciąż było ciemno i granatowo, światło nie potrafiło przedostać się przez gęstą sieć martwych gałęzi. Choć las nie był duży - wszak chłopiec za dnia przychodził się tu bawić razem z dziećmi przejeżdżających karawan i znał go już dość dobrze - wciąż był niebezpieczny, szczególnie o tej porze. Znajdujący się w pobliżu góry, pełno w nim było jaskiń

i grot, w których mieściły się gniazda i kolonie różnej maści zwierząt, głodnych i zabójczych. Chłopiec wiedział, że nie będą zapuszczać się głęboko w las, o tej porze to o wiele bardziej niebezpieczne niż za pełnoprawnego dnia. Mimo to, był przestraszony.

Próbował nie myśleć o zwierzętach, o niebezpieczeństwie, o możliwej śmierci, wolał rozglądać się za orchideą, która nie jest mu w stanie nic zrobić i która może mu tylko pomóc. Powtarzał sobie, że musi wytężać wzrok i patrzeć na ziemię, w ten sposób na pewno ją znajdzie, bo mocno wątpił, że jej może tam po prostu nie być. Nie przyjmował takich myśli do świadomości, były zbyt niedorzeczne i głupie; jak może jej tam nie być, skoro jest nawet opisana w książce przez ludzi, którzy byli od niego o wiele mądrzejsi i wiedzieli więcej od niego. Przecież on jej potrzebuje, to niemożliwe żeby jej po prostu nie było. Nie, ona jest tam na pewno, najwidoczniej chłopiec szuka jej zbyt nieudolnie. Musi jej szukać tak, jak ojciec, który szuka teraz zwierzyny.

Był spięty, ale nie w stopniu, który utrudnia poszukiwania, wytężał wszystkie swoje zmysły do granic możliwości, jakby próbował zademonstrować znaczenie słowa skupienie. Stąpał bardzo ostrożnie i cicho, omijając starannie wyschnięte gałęzie, które pod naciskiem mogłyby zdradzić jego położenie. Spojrzał na syna niezadowolony, widział zbyt wiele błędów w jego zachowaniu i bardzo chciał zwrócić mu na nie uwagę. Już miał to zrobić, kiedy usłyszał za sobą szelest. Odwrócił się szybko, jednocześnie ściskając mocniej swoją broń. Nie było za nim absolutnie niczego. Pewnie jakaś ułamana gałąź.

Kiedy chłopiec usłyszał ten sam szelest, serce zabiło mocniej, szybciej i głośniej. Zamknął oczy, zacisnął zęby i zaczął sobie powtarzać, że wcale tego nie słyszał i nic tam nie ma, a nawet jeśli jest, to nic mu nie zrobi, bo ochroni go ojciec. W głowie lekko szumiało, potężne uderzenia serca w klatkę piersiową sprawiały, że chłopcu zdawało się, że trzęsą jego ciałem. Czas ciągnął się powoli i ospale - jakby zmęczony swoim dotychczasowym rytmem postanowił odpocząć. Dopiero lekki powiew wiatru przyniósł ukojenie, usłyszał jak ojciec cicho wzdycha z ulgi, znaczyło to, że nie ma się czego bać. Otworzył oczy i zaczął przeklinać sam siebie, że stchórzył, a nie - tak jak ojciec - gotował się do walki. Powiedział sobie, że następnym razem już nie stchórzy. Ruszyli dalej.

W miarę upływu czasu, w lesie zaczęło się powoli rozjaśniać, dzień wstawał powoli i leniwie, ale nad wyraz skutecznie. Chłopiec pozostawiając poszukiwania jaszczura ojcu, przyglądał się ziemi, wypatrując swojego kwiatu. Niestety, jak zwykle nigdzie go nie było. Na początku lekko podekscytowany myślą o znalezieniu go, teraz, jak zwykle po takim czasie poszukiwań, zapał go opuścił i przestał przyglądać się ziemi z takim pietyzmem i przejęciem. Kiedy wcześniej skanował ziemię milimetr po milimetrze, teraz obrzucał ją pobieżnym spojrzeniem i dawał sobie spokój. Co jakiś czas trochę denerwowało go jego własne zachowanie i wracał do skanowania, lecz trwało to zazwyczaj bardzo krótko i nie było tak dokładne jak poprzednio. Tłumaczył to sobie tym, że cierpliwość też ma swoje granice, a kwiat pewnie po prostu nie chce go widzieć, albo znajduje się w zupełnie innej części lasu i woła go, bezskutecznie.

Polowanie trwało już trochę czasu i dało się to odczuć. Chłopiec chodził wolniej, mniej ostrożnie, a kij zaczynał się robić coraz bardziej niewygodny i niepotrzebny. Zdenerwowany spojrzał na ojca, który był o wiele bardziej wytrwały od niego i jakby bardziej skupiony niż poprzednio.

Nagle poczuł to, co jego ojciec poczuł o wiele wcześniej. Zapach krwi.

- Uważaj, jaszczur jest w pobliżu - wyszeptał ojciec - rozglądaj się powoli i dokładnie. Będzie nam go łatwiej podejść, jeśli jeszcze je. Trzymaj się blisko mnie.

Chłopiec wcale nie miał ochoty się od niego oddalać, więc rozkaz ten nie miał najmniejszego sensu. Był zbyt przestraszony, żeby go teraz opuścić. Wizja napotkania jaszczura, który był większy od niego i z całą pewnością miał zakrwawiony pysk i pazury, była dla niego czymś strasznym, odrażającym. Ale wiedział, że w końcu do tego dojdzie, zapach krwi był coraz mocniejszy.

- Jest. - powiedział ojciec wskazując na podłużną, żółtą sylwetkę poplamioną gdzieniegdzie jasnymi, brązowymi plamami.

Jaszczur, gdyby stanął na tylnych nogach, z pewnością byłby wzrostu chłopca. Ale teraz siedział i rozszarpywał jakąś zwierzynę, przez co sięgał najwyżej do kolan i wydawał się być mniej groźny. Mimo to, chłopiec już teraz nie dałby się nabrać, ta jaszczurka w chwili zagrożenia potrafi stanąć na długich tylnych łapach, aby wydać się groźniejszą i w momencie zdziwienia przeciwnika plunąć jadem prosto w oczy. Bez szybkiej pomocy doświadczonego lekarza, człowiek może stracić wzrok na zawsze.

Ale teraz jaszczur zajęty był rozrywaniem swojej ofiary, która zdawała się jeszcze żyć, choć mogły być to tylko wstrząsy spowodowane przez plamiaka. Odgłosy jakie temu towarzyszyły, przyprawiły chłopca o mdłości - Dobra. Widzisz go? - chłopiec twierdząco pokiwał głową - świetnie. Stań teraz tak, jak ci pokazywałem. Lewa noga do przodu, tułów i prawa ręka odchylona do tyłu, dobrze. Wyceluj i rzuć w niego. Od tułowia, wtedy kij poleci z większą prędkością. Tak, jak cię uczyłem. Tylko szybko, on może sobie pójść.

Chłopiec patrzył na ojca szeroko otwartymi oczyma. Nie wydawało mu się, żeby był już na to gotowy. Nie, był nawet pewien, że nie był. Srogie oczy ojca, zdawały się mówić coś całkowicie przeciwnego. Chłopiec przybrał pozycję.

Patrzył teraz na jaszczurkę, która rozrywała jakąś zwierzynę ze smakiem. To mógłbym być ja, pomyślał, żeby dodać sobie sił. Zamrugał oczami. Ciągle się wahał. Ojciec był niezadowolony.

- No!

Powiedział to trochę za głośno. Plamiak odchylił zakrwawioną głowę od ofiary i zaczął się rozglądać. Podniósł ją wyżej na długiej, groteskowej szyi i przez chwilę obserwował miejsce gdzie stali myśliwi, ale nie zauważył ich i wrócił do ofiary. Chłopiec przypomniał sobie swój sen.

Wnętrzności ojca.

Z krzykiem rzucił zaostrzonym kijem w jaszczura. Ten ponownie podniósł głowę na tej okropnie wyglądającej szyi i odwrócił się w stronę, z której usłyszał wrzask. Kij, który leciał wycelowany w głowę, na miejscu której znalazła się teraz szyja, przebił ją. Jaszczur tylko zacharczał, i zaczął wierzgać z bólu. Włócznia, przebiwszy plamiaka, wbiła się w drzewo stojące za nim, przez co chłopiec mógłby powiedzieć, że nie był bezpośrednią przyczyną jego śmierci. Zwierzę, próbując zrozumieć, co się stało i uwolnić się, swoim wierzganiem zaczęło rozrywać przebitą szyję coraz bardziej, aż w końcu zwiesiło martwą głowę, która trzymała się na drobnej nici łusek.

Ojciec nie posiadał się ze szczęścia. Od razu przybiegł zobaczyć, jak wygląda przyszły obiad. Chłopiec stał w krzakach, oddychał ciężko i nie był z siebie zadowolony. Na wołanie ojca, podszedł zobaczyć, co właściwie zrobił.

Widok był to okropny. Wisząca głowa w końcu okazała się za ciężka, zerwała się z cienkiej nitki i upadła rozlewając trochę lepkiej krwi. W tym samym momencie upadła i długa szyja, z której przy uderzeniu w ziemię wylały się razem z krwią nieprzełknięte resztki martwej zwierzyny, która leżała obok jaszczurki. Odór, jaki unosił się z obu ciał, skręcał w środku.

- Świetny rzut! teraz nie trzeba się będzie męczyć z gruczołami, które wytwarzają jad. Wiedziałem, że się postarasz - ojciec dumnie położył chłopcu rękę na ramieniu.

Młody myśliwy zwymiotował.

*****

- Powinnaś być dumna ze swojego syna - powiedział zadowolony ojciec wchodząc do domu - to właśnie on upolował tego plamiaka!

- Naprawdę? - spytała zadowolona matka - No, no, to chyba mamy w domu nowego mężczyznę!

Chłopca ta uwaga wcale nie ucieszyła. Domyślał się, że teraz będzie musiał częściej chodzić na polowania z ojcem, aż w końcu będzie musiał chodzić samemu. Ta myśl szczególnie go niepokoiła.

Wcale nie chciał wracać do lasu o tej porze. Ani już w ogóle nie chciał tam wracać. Czuł się okropnie. Wcześniej widział, jak jego ojciec zabija te zwierzęta, jak w ich oczach powoli gaśnie ten płomień, ten sam płomień życia, który widział w oczach każdego zwierzęcia i każdego człowieka. Nie potrafił znieść widoku tego niemego cierpienia, jakie biło z przerażonych oczu, kurczowo trzymających się życia jeszcze przez bolesną chwilę

spoglądania na swojego zabójcę. Chłopiec nie wiedział, nie potrafił sobie odpowiedzieć, czy były to tępe spojrzenia bezmyślnych zwierząt, czy ostatnie spojrzenia istot rozumnych, pełne nienawiści i pytań. Z racji swojego uczucia do orchidei skłaniał się ku tej drugiej możliwości i nie potrafił nie myśleć o tym, jak zareagowałaby na to jego orchidea i czy w jej świecie postrzegany jest teraz jako morderca.

Rozumiał oczywiście, że jest to coś jak naturalna kolej rzeczy. Przecież zwierzęta zabijały się prawie codziennie w ciągłej walce o przeżycie. Ale jest to ich piętnem - one nie potrafią tworzyć, myśleć - napędzane są instynktem, który nie daje im wyboru - i wiedzy - i każe zabijać się nawzajem. Ale skoro nie potrafią myśleć, to dlaczego zawsze patrzą, świdrują wzrokiem, jakby jednak wiedziały? Czy jeśli są naprawdę rozumne, to czy w takim razie według ich prawa nie popełnia żadnego przestępstwa?

Ale to przecież stawia go na równi ze zwierzętami.

A co powiedział ojciec?

Że ludzie to zwierzęta. Tylko trochę mądrzejsze. Ale co na to orchidea? A może dlatego nie chce mu się objawić? Może dlatego, że i on jest zwierzęciem i w ostateczności mógłby zabić i ją? Może nie pokaże mu się aż do momentu, gdy stanie się kimś innym, lepszym? Kiedy przestanie być zwierzęciem?

Nie! On jest człowiekiem! To nie jego wina, że jest tutaj, teraz, zachowuje się jak zwierzę i żyje jak zwierzę. To zostało mu narzucone, przez czasy, przez otoczenie. Gdyby był gdzie indziej, byłby całkowicie inny. Przecież nie zabił z własnej woli, nie chciał zabić. Zabić...

Zakończyć czyjeś życie. Przeciąć cienką, wiotką nić, która stanowi o czyimś losie. W mgnieniu oka wydać decyzję, która dla innej istoty jest najważniejszą. Czy on ma prawo o tym decydować? Czy ktokolwiek ma prawo o tym decydować?

W doskonałym świecie?

Nie.

Na tym?

Każdy.

Przecież nikt nie dba już o opinię czy uczucia innych. Bandyci wiele razy napadali na ich dom. Napadali na swoich braci, tak jak widział w lesie walczące ze sobą wilki - które nawet bardziej niż ludzie są do siebie podobne - tak widział i ludzi walczących ze sobą. Czy w takim razie i on będzie musiał walczyć ze zwierzętami, a nawet i z ludźmi? Czy dlatego ojciec zabiera go ze sobą, żeby nie był jak te mniejsze zwierzęta padające ofiarą większych? Żeby zamiast być motylem - choć pięknym i niewinnym - być pająkiem, który uchwyci go w swoją sieć? Żeby zrozumiał, że inaczej się nie da? A przynajmniej nie tutaj, nie na tym świecie. Może w świecie orchidei, ale nie tu. A co na to wszystko orchidea?

Otworzył książkę na swojej stronie. Patrzyła na niego tak samo, jak zawsze - z uśmiechem, który jest tak szczery i radosny, że chłopiec od razu poczuł się o wiele lepiej. Wszystkie żale i troski spłynęły po nim jak z wodospadu. Jeśli ona nie czuła do niego urazy po tym, co zrobił, to znaczyło, że mu wybaczyła. To znaczyło, że wciąż miał szansę dostać się kiedyś do niej. Może po prostu uwzględni jego położenie, kiedy w końcu się z nią spotka? Tak, innego wyjścia nie ma, przecież w innym wypadku nie spotkałby jej w ogóle. A to jest niemożliwe.

Czuł się o wiele lepiej, choć obiad nie był już tak smaczny jak kiedyś.

*****

- Mamo - powiedział chłopiec, kiedy leżał już w łóżku - opowiedz mi bajkę.

Matka chłopca usiadła na brzegu łóżka i odgarnęła włosy za ucho.

- Bajkę? Nie jesteś już za duży na bajki?

- Nie - zaśmiał się chłopiec - nigdy nie będę za duży na bajki.

Matka uśmiechnęła się - No dobrze. To opowiem ci o śpiewającym Drzewie.

- Nie - przerwał jej chłopiec - tę już znam.

- Ale przecież ją lubisz!

- Wiem, ale chcę taką, której nie znam.

- Taką, której nie znasz? No dobrze. Wcześniej jej nie opowiadałam, bo jest dla dorosłych chłopców. A ty - spojrzała na zegar ścienny, który pokazywał północ - już jesteś dorosłym chłopcem, prawda?

- Mhm. - uśmiechnął się.

- Na urodziny opowiem ci bajkę o Płaczącym Lisie.

- Dlaczego płakał?

- Dowiesz się, jak opowiem!

- No dobrze, opowiadaj.

Matka lekko zniżyła głos i zmieniła ton na spokojniejszy - Dawno temu, choć nie tak bardzo dawno temu, w pewnym lesie, może nawet tym, żyła sobie rodzina lisów. Był tata-lis, mama-lis i mały lisek - ich syn. Żyli sobie szczęśliwie w norce. Ale jakiej norce! Była pięknie urządzona! Przed wejściem leżało dużo liści, tak żeby mogły sobie wycierać łapki, zanim

wejdą do domu z brudnymi. A w środku mieli wszystko, czego potrzebowali. Tata-lis lubił malować, więc rysował piękne obrazy na ścianie ziemnej grubym patykiem, który kiedyś znalazł. Duży, zygzakowaty korzeń pobliskiego drzewa przechodził przez środek nory, co podobało się mamie-lis, bo była lisicą wyrafinowaną i nie lubiła jeść na ziemi. Dzięki korzeniowi mogła jeść na stole z całą rodziną. A mały lisek, jak to u małych lisków bywa, po prostu sobie po niej biegał, kiedy nie mógł wychodzić - była bardzo duża. Krótko mówiąc, żyli szczęśliwie.

Ale pewnego dnia, kiedy rodzice liska wyszli na polowanie, wrócił z niego tylko tata-lis. Był bardzo przygnębiony, bo mamę-lis zastrzelili ludzie. Był bardzo zły na siebie, że nie mógł jej pomóc i powoli, z dnia na dzień, przestawał przejmować się domem i tym, co się w nim działo. Jedli mniej, a cały czas, jeśli nic nie robił, to próbował namalować obraz mamy-lis, ale był wściekły i nie potrafił.

Ponieważ ciągle był zmartwiony i zachowywał się tak, jakby wcale go tam nie było, mały lisek spędzał coraz mniej czasu w domu. Wychodził z niego prawie, że na całe dnie i robił to, co robiły inne liski w jego wieku - bawił się. Biegał po lesie, zaprzyjaźniał się z innymi zwierzętami. Choć też tęsknił za mamą, wiedział, że nie może zachowywać się tak, jak jego tata. Postanowił więc pewnego dnia, też coś upolować i pochwalić się tacie.

Ale, niestety, tego samego dnia tata-lis także postanowił iść coś upolować, bo długo już nie jedli. Kiedy wyszedł z norki, zobaczył przed nią ślad krwi. Oczy nabiegły mu łzami - uznał, że zabili i małego liska. Wściekły i przygnębiony zakopał wejście do norki od środka, zniszczył wszystkie obrazy i przysiągł sobie, że już nigdy nie wyjdzie na świat zewnętrzny, a potem zmęczony zaczął płakać. Płakał dzień i noc, miesiąc i rok. Nie przestawał płakać, nie wychodził z domu. Aż w końcu nawet i jego duża norka nie mogła pomieścić tylu łez - zalała się do pełna, a tata-lis w nich utonął.

Gdyby tylko nie oddał się w pełni żalowi, wiedziałby, że to po prostu mały lisek upolował ptaka. Próbował odkopać wejście do norki, wołał tatę, ale on nic już nie słyszał. I z tego powodu mały lisek też zaczął płakać, tak jak jego ojciec. Ale na szczęście, przechodziła tamtędy stara i doświadczona wilczyca, która nigdy nie mogła mieć dzieci. Przygarnęła liska i traktowała go, jakby był jej synem. Wychowała go na dzielnego lisa, który pewnego dnia założył swoją rodzinę. I wszyscy żyli długo i szczęśliwie. - pogładziła chłopca po głowie.

- Wiesz co?

- Tak?

- Chyba nie jestem wystarczająco duży na tę bajkę.

- No cóż. Teraz, już musisz do niej dorosnąć. Śpij już.

- Dobranoc.

- Dobranoc. Wszystkiego najlepszego.

*****

- Ubieraj się - głos ojca wybudził go ze snu. Już nawet zapomniał, co mu się śniło - Ubieraj się, przecież jedziemy dzisiaj do miasta. Są twoje urodziny, pamiętasz? - zapytał ze śmiechem. Krótka pamięć chłopca często była obiektem ojcowskich żartów i reprymend.

- Ale jest tak wcześnie - odpowiedział bardzo niewyspany.

- Karawana do miasta przejeżdża tylko o tej porze, nic na to nie poradzę. Sam chciałeś jechać w urodziny. Chcesz zostać w domu?

- Nie.

- To wstawaj.

Gdy siadał przy stole, był na tyle zmęczony, że nawet nie pamiętał kiedy i czy w ogóle się umył, jakby robił to tylko na wyuczonych odruchach. Ale musiał się umyć. Przecież na stole leżała butelka napoju gazowanego, którą znalazł w wiaderku ze studni - schłodzoną naturalnie. Była to miła niespodzianka, nawet nie widział kiedy ojciec ją kupował, ani, że w ogóle ją kupował. śniadanie też było bardzo dobre - mięso z konserw. Z jakiegoś powodu wolał je bardziej od świeżego i choć było bardzo drogie, ojciec mu je kupił. Znowu - nie wiadomo kiedy, nie wiadomo gdzie. Urodziny zawsze były dniem miłym i pełnym niespodzianek, co powtarzał sobie chłopiec. Zawsze otrzymywał więcej uwagi niż zwykle i choć jego prośby nie zawsze mogły zostać spełnione, znakomita większość z nich była wysłuchiwana.

Nie mógł zgłębić tego zjawiska jeszcze bardziej, ponieważ nakręcany zegar ścienny zaczął wybijać godzinę, o której przejeżdżają karawany. Przemyślenia na temat tego, co było i co będzie na urodzinach, trzeba zostawić na wolną chwilę. Teraz trzeba wychodzić i czekać.

Ojciec ubrany był tak, jak zawsze się ubierał, kiedy miał odwiedzić miasto. Miał na sobie luźne jeansy i jedyną wełnianą koszulę, która musiała być bardzo droga. Z kolei matka ubrana była w białą sukienkę, która z pewnością była droższa od koszuli ojca i miała ten śmieszny, duży, okrągły kapelusz. Też biały. Jeśli w mieście wszystkie kobiety noszą takie kapelusze, to musi być tam bardzo śmiesznie.

Na drodze pojawiła się karawana.

- Cholera - zaklął niezadowolony ojciec.

Nic dziwnego, okazało się, że była to karawana towarowa. To oznaczało, że po pierwsze całą drogę trzeba będzie iść na piechotę samemu, po drugie nikt nie będzie się zatrzymywał na niczyje życzenie i po trzecie priorytetem strażników nie są ludzie, ale towary. Znaczyło to, że

jeśli będą strzelać do "pasażerów" straż nie kiwnie palcem, ale jeśli ktoś będzie miał ochotę skrzywdzić wiezione dobra materialne, straż ma obowiązek bronić ich własną piersią. Ale okazało się, że przywódca straży był wyrozumiałym człowiekiem. Kiedy zauważył trójkę ludzi kazał się zatrzymać. Konie ciągnące duży wózek napakowany różnymi skrzyniami wyglądały na zadowolone z postoju, otyły jegomość idący blisko nich wyglądał na jednocześnie zadowolonego i zdenerwowanego, człowiekowi podróżującemu najwyraźniej z synem i jego psem nie robiło to różnicy, a pięciu strażników wysłuchało po prostu rozkazu.

- Domyślam się, że chcecie jechać z nami? - zapytał od razu człowiek, którego twarz zdobiło - albo szpeciło - kilka blizn - kapitan straży.

- Tak.

- Już mamy tutaj mały tłumek, ale wydaje mi się, że zdołamy was gdzieś wcisnąć. - uśmiechnął się - Ale ostrzegam, że to będzie długi marsz i jeśli nie dacie rady, będziemy musieli was zostawić. Na konia też nikt nie wsiądzie, nie chcemy przemęczać zwierząt. Wybacz, mały. - mrugnął okiem do chłopca, który uśmiechnął się na ten gest. - Mamy umowę?

- Mamy.

- To świetnie, bo nie lubię się zatrzymywać bez potrzeby. - zagwizdał głośno na palcach i wskazał ręką do przodu. I tak zaczęła się podróż do miasta.

Chłopiec od początku drogi przypatrywał się dużemu psu, którego olbrzymi jęzor poruszał się w takt jego głośnego oddechu. Jego właściciel, chłopak trochę niższy od niego, uznał to za dobry moment na nawiązanie rozmowy.

- Wabi się Tof. Ale mama woli mówić na niego Tofik. Chociaż, moim zdaniem, Tof za tym nie przepada, albowiem to duży pies. Duże psy powinny mieć duże imiona, silne. Tof takim jest. Więc to tylko naturalne, że winno mówić się na niego Tof. Nie sądzisz?

- Chyba. - rozwlekła wypowiedź tego chłopaka trochę go zdenerwowała. Może dlatego, że używał słów, których znaczenia chłopiec nie znał. A może dlatego, że gadał bzdury.

- Hm. Nie jesteś najwspanialszym interlokutorem, nieprawdaż? - nadął się i spojrzał na ojca chłopca. Uśmiechnął się złośliwie - Twój tata chyba też nie miałby o czym konserwować z moim tatą. Jak się już pewnie domyśliłeś, bowiem jest to oczywiste dla bystrego obserwatora, mój tata jest naukowcem. Doktorem, ściśle rzecz biorąc. Kiedyś będzie sławny na cały świat.

- Aha. - przemądrzały ton tego dzieciaka zaczynał go mocno denerwować - Widzisz, mój ojciec jest myśliwym. I, jak tak patrzę na twojego, to myślę, że jest bardziej dzielny niż twój.

- Nawet jeśli - odpowiedział naburmuszony - to nie widzę absolutnie żadnego powodu, aby mój ojciec miał cokolwiek zabijać. To bestialskie i barbarzyńskie.

Choć chłopiec po części musiał się z nim zgodzić, to jednak miał nieodpartą chęć utrzeć mu nosa - A co byś wtedy jadł, gdyby nie było myśliwych, mądralo?

- Mięso konserwowe. - odpowiedział tryumfalnie.

- A skąd jest mięso konserwowe? Ktoś je musiał wcześniej upolować, żeby było, nie? Upolować i zabić. Możesz mi wierzyć, ja widziałem, jak wyglądają zwierzęta na chwilę przed obiadem. Nie każdy może się tym zajmować. Powinieneś dziękować mojemu tacie, że możesz dzięki niemu jeść.

Przemądrzalec przez chwilę był zdenerwowany, ale szybko się rozchmurzył. - To naturalne. Wy - troglodyci - zabijacie, my - inteligenci - korzystamy.

- Tak - powiedział chłopiec po chwili namysłu - ale zobacz. Myśliwi nie potrzebują inteligentów do polowań i mogą jeść bez nich. Inteligenci potrzebują myśliwych do polowań i bez nich nie mogą jeść. I co ty na to?

- Mój ojciec jest lekarzem. - mówił już z mniejszym przekonaniem niż poprzednio - Czy twój ojciec umie leczyć rany i pomógłby ci, gdybyś był chory?

- Cośtam umie - odparł chłopiec - ale raczej mniej niż twój. Wydaję mi się, że i myśliwi, i inteligenci są tak samo ważni.

- Wiesz co? - odpowiedział syn doktora - Chyba mamy rację w tym względzie.

Chłopiec przewrócił oczami. Chyba on miał rację w tym względzie.

- A jakie zwierzęta upolował twój tata?

- Różne. Wilki, muflony, nawet dzika. Ale najbardziej niebezpieczny z nich wszystkich jest plamiak. Pieprzona jaszczurka - dodał szeptem i rozejrzał się, czy nikt nie usłyszał.

- Plamiak? Masz na myśli salamandrę? Ale to nie jaszczurka, to płaz.

- Płaz? A kto tak powiedział?

- Mój tata.

- A mój ojciec powiedział, że to jaszczurka.

- Bo twój tata to imbecyl.

- Tak? A twój to idiota.

- Nie, bo twój!

- Wcale, że nie!

- Wcale, że tak!

- Nie-e!

- Ta-ak!

- Mój ojciec pobiłby twojego tak, że zapomniałby jak się nazywa!

- Nieprawda! - odpowiedział chłopak, który był tak czerwony i zdenerwowany, że prawie się popłakał - Chodź Tof, nie będziemy marnować czasu z plebsem! Tof! - jego pies wcale nie miał zamiaru odchodzić ot tak, bez uprzedniego powąchania chłopca - Tof, chodź! - mądrala mocno pociągnął psa za ogon i przeszli na drugą stronę karawany.

Jechali jakiś czas, a Słońce na niebie jechało razem z nimi. Na latającym morzu nie było nawet jednej chmurki, więc o tej porze roku było niewiarygodnie ciepło. Co jakiś czas przepływało w nim kilka dużych ptaków. Niektóre lądowały na czubkach drzew, by zaraz potem wlecieć gdzieś w środek lasu. Chłopiec zastanawiał się, czy droga wiodąca zaraz przy jego granicy nie jest zbyt niebezpieczna. Podbiegł do przywódcy straży i pociągnął go za rękaw. Ten tylko spojrzał na niego i zaraz wrócił wzrokiem do oglądania okolicy.

- Co jest, mały?

- Zastanawiałem się, czy nie ma innej drogi. Ta wydaje mi się być bardzo niebezpieczna.

Mężczyzna zaśmiał się - No cóż, to taka trasa. Nie ma innej i zdaję sobie z tego sprawę. Ale, jak to mówią, jest ryzyko, jest zabawa. Poza tym dużo mi za to płacą. No i jeśli stracimy kogoś po drodze, to zostanie mi to potrącone tylko z czystości sumienia, a nie z kieszeni.

Chłopca najpierw zdziwiła ta prawdomówność, a potem zdenerwowała. Odszedł od niego bez słowa, ale kapitan nie przejął się tym zbytnio. Kiedy wracał do ojca, żeby poprosić, aby wziął go na barana, bo już jest trochę zmęczony, zaczepił go otyły jegomość z białym ręcznikiem owiniętym wokół głowy i chyba trochę za małymi spodniami tego samego koloru.

- Jedziesz do miasta, chłopczyku? - zapytał przesłodzonym tonem. udawał niewiedzę i sympatię bardzo kiepsko.

- Jadę.

- Tamta para to twoi rodzice, prawda?

- Prawda.

- A mógłbyś, któreś z nich tu zawołać?

- Mógłbym. Ale po co?

- Bo chciałbym o coś ich zapytać.

- Ale czemu nie możesz zapytać o to mnie, skoro już rozmawiamy?

- A masz przy sobie jakieś pieniądze?

- Nie.

- No właśnie. Zawołaj, zawołaj, nie będziesz żałował.

Chłopiec podszedł do ojca i zaprowadził go do kupca.

- Dzień dobry panu! - mówił trochę innym głosem niż tym, którym rozmawiał z chłopcem. Był trochę głośniejszy.

- Dzień dobry.

- Odnoszę nieodparte wrażenie, że dziś jest jakiś dzień specjalny.

- Tak. Mój syn ma urodziny.

- Och, to wspaniale! - zaklaskał w dłonie - Sto lat, sto lat, chłopcze! Sto lat! A spójrz na to - wyciągnął z kieszeni coś okrągłego, do czego przymocowany był sznurek z pętlą. Nałożył pętelkę na palec - To jojo. Popatrz. - wypuścił jojo z rąk i kiedy spadało na dół, szarpnął ręką do góry, jojo wróciło po sznurku do jego dłoni - Zobacz, jakie fajne! Mogę to sprzedać przy specjalnej, urodzinowej zniżce za, powiedzmy, piętnaście?

Jeden ze strażników, który był najbliżej, wybuchnął śmiechem - Smykałkę do ludzi to ty faktycznie masz! - podszedł bliżej i zwrócił się do ojca chłopca, a kupiec wyraźnie się zdenerwował - Nie tak dawno wypytywał mnie o różne rzeczy, niby z grzeczności. Kiedy dowiedział się, że mam małego synka w mieście, od razu wyjął ten szmelc i próbował mi go wcisnąć. Bez urodzinowej zniżki, za dziesiątaka.

Kupiec tylko westchnął - Na premię już nie licz.

- W dupie mam twoją premię. I tak płacisz nam więcej niż bierzemy za tę trasę.

Kupiec zrobił się czerwony i milczał przez chwilę, aż zapytał oskarżającym tonem - Jak ty się wyrażasz przy dziecku? - odwrócił się do ojca chłopca. Ale ani chłopca, ani jego ojca już przy nim nie było. Spuścił głowę i opuścił jojo do ziemi, a kiedy już do niego wróciło, schował je do kieszeni.

Jechali jakiś czas, a Słońce jechało wraz z nimi. Żadna chmura nie przepływała przez niebo, więc było im coraz goręcej. Chłopiec użył swojego ojca jako środka lokomocji i wcale mu to nie przeszkadzało. Przeciwnie, kiedy zobaczył, że ojciec tego przemądrzalca, także wziął swego syna na barana, ale zbyt długo nie wytrzymał, bardzo się z tego ucieszył. Był dumny ze swojego ojca. No i widział świat z pozycji dorosłego. Dorośli widzą o wiele więcej od dzieci, ale czasami zachowują się tak, jakby widzieli mniej. Na przykład ten kupiec od razu zrobił na nim złe wrażenie, ale ojciec był przez chwilę zainteresowany. Może nawet i kupiłby tę niepotrzebną zabawkę. Trochę to dziwne.

- Ha! - ucieszył się po cichu jeden ze strażników - Co za durne zwierzę. - stwierdził celując ze swojej strzelby w siedzącego nieopodal czarnego wilka.

- Co robisz, kretynie? - krzyknął wędrowny kupiec - Chcesz nas wszystkich zabić?

- O co chodzi, grubasie? - odparł strażnik odsuwając strzelbę od twarzy - Przeszkadza ci, że za drogie futro nie zapłacą tobie, a mnie?

- Nie - oburzył się kupiec i zaczął mówić coraz szybciej - Ale nie wiesz, że zabicie czarnego wilka przynosi pecha? Chcesz go zastrzelić na trasie kupieckiej? Idioto? - dodał po chwili namysłu.

- Zabobony i ciemnota. Za takie futro dostanę w mieście fortunę.

- Nie! - kupiec podszedł do niego i złapał za strzelbę - Jeśli ktoś coś wie o chciwości i dobrym interesie, to na pewno jestem to ja, ale kiedy będziesz martwy, to nikomu tego nie sprzedasz!

- Zaraz ty będziesz martwy - odpowiedział zdenerwowany strażnik przybliżając twarz do momentalnie skurczonej twarzy kupca - jeśli nie puścisz mojej Hanny, tłusty dzbanie. I wtedy na pewno niczego już nie sprzedasz.

Kupiec na chwilę otworzył oczy w największym zdziwieniu, a potem spojrzał na kolbę broni - kilka nacięć faktycznie układało się w jej imię. Puścił strzelbę, ale wciąż stał przy strażniku.

- Tak, zabieraj te spocone łapska. I przestań szturchać mnie swoim obmierzłym balonem. Odsuń się.

- Nie zabijesz tego wilka.

- Dobrze. To w takim razie zabiję ciebie. Będę miał tyle mięsa, że dostanę więcej niż za jego futro. Cholera, gdybym poszedł z tobą do najbliższej wioski, gdzie panuje nieurodzaj, zostałbym ludowym bohaterem. - odpowiedział tonem, który snuł niepowtarzalnie fantastyczne plany.

- Przecież ja ci płacę! - odkrzyknął kupiec nienaturalnie wysokim głosem.

- No to mi nie zapłacisz. - odpowiedział strażnik z paskudnym uśmiechem.

Mózg kupca wykonał niewiarygodnie szybkie kalkulacje i otrzymał niezadowalające wyniki. Z jednej strony była śmierć spowodowana zabiciem czarnego wilka, z drugiej śmierć spowodowana strzałem w głowę. I do tego obie w najbliższym czasie. Rozejrzał się tylko desperacko wokół siebie, ale nikt nie chciał mu pomóc. Chłopiec chciał z jednej strony przyznać mu rację, ale z drugiej nie podobały mu się jego motywy. Sprzeciwiał się zastrzeleniu wilka tylko we własnym interesie. Nie chodziło mu o życie tego zwierzęcia, tylko o życie własne. Gdyby był to zwyczajny wilk, już by leżał martwy. Ale żaden zwyczajny wilk nie siedziałby sobie tak po prostu pod drzewami na trasie karawan.

- Dość - wtrącił stanowczo przywódca straży - Nikt nikogo nie będzie zabijał. Zrozumiano? A pan niech wraca do koni.

- Tak - odparł przez zęby strażnik i jeszcze mamrotał coś pod nosem z pochmurną miną.

Wilk siedział przez chwilę pod drzewami i obserwował przejezdnych swoimi niebieskimi ślepiami, aż czmychnął do lasu, nieprzejęty.

Jechali jakiś czas, a Słońce jechało wraz z nimi. Droga, powoli, ale zdecydowanie, zmierzała do lasu, zostawiając za sobą wyżyny i pagórki, zielone pola i jasny horyzont. Na tej samej drodze, prosto z lasu, wychodziła grupa ludzi. Nie mieli koni, ani wózków, więc nie była to inna karawana. Strażnicy mocniej złapali za strzelby.

- Kobiety i dzieci na tył - powiedział kapitan. - Lepiej, żeby mężczyźni też mieli jakieś bronie.

- Ale ja żadnej nie mam - odpowiedział jękliwie kupiec.

- To będziesz robił chociaż za tarczę.

- Cicho - skarcił strażnika-łowcę dowódca. - Wejdź pan na koń, w razie czego będzie pan uciekał.

Kupiec niezgrabnie wgramolił się na jednego z koni i prawie się na nim położył.

Ojciec chłopca wyjął swój stary rewolwer i zwrócił się do matki - Weź go na tył, jeśli coś się będzie działo, uciekajcie.

Matka przez chwilę trzymała dłoń ojca, po czym wzięła chłopca za rękę i zaczęła ciągnąć go do tyłu.

Rozległy się huki strzałów.

Jej ciało upadło na ziemię, jak upada marionetka, której sznurki zostają przecięte.

I wtedy zapanował chaos. Przestraszone konie zarżały i stanęły na tylnych nogach, przez co kupiec spadł na wózek. Strażnicy rozproszyli się, każdy w inną stronę i zaczęli oddawać strzały. Wózek z kupcem pojechał szybko do lasu, ciągnięty przez przerażone konie, tratując kilku bandytów. Reszta z nich także się rozproszyła i strzelała. Dowódca straży oberwał dwa razy w klatkę piersiową i upadł na ziemię. Przemądrzały syn doktora szturchał jego ciało, ale bez rezultatu. Ojciec strzelał wściekle, trochę na oślep, aż sam został postrzelony. Ale chłopiec żadnej z tych rzeczy nie widział.

Zaczął biec. Nie odwracał się. Słyszał strzały i krzyki. Ktoś chyba zastrzelił tego psa, bo usłyszał zagłuszony skowyt. Biegł. Nie odwracał się. Co tam się dzieje? A jeśli odwróci się i zobaczy nad sobą bandytę? Biegł. Strzały ucichły, ale krzyki nie. Jeden pocisk uderzył w piach obok jego nóg. Biegł szybciej. Nie odwracał się. Wiedział, że nie ma po co. Nie było już słychać krzyków. Tylko śmiechy. Wstrętne, obrzydliwe śmiechy. Biegł dalej.

Trawa.

Słońce.

Drzewa.

Nogi bolą. Pieczą. W płucach coś płonie.

Trawa.

Słońce.

Drzewa.

Obejrzał się za siebie. Nic tam nie było. Zatrzymał się. Usiadł.

Oddychał bardzo ciężko, zaczął kaszleć. Był czerwony i spocony, wyczerpany. A przecież musiał jeszcze dojść do domu. Ciężko było mu myśleć od tego zmęczenia. Za drzewami zobaczył chyba oczy czarnego wilka. Przestraszony wstał i zaczął iść do domu. To już chyba niedaleko, poznał to miejsce. Przejeżdżali tędy zaraz za domem.

Niebo było bezchmurne i błękitne. Drzewa stały w bezruchu, ciemnozielone. Droga była piaszczysta i żółta. Lekki zefir gładził chłopca delikatnie po twarzy. Dzień był upalny i piękny.

Łzy były gorzkie i palące.

Przez mgłę oczu zobaczył w końcu dom. Ciągle tam stał. A więc nie cały świat legł w gruzach. Więc nie był to zły sen, tylko zła rzeczywistość. Otworzył drzwi, dom był pusty. Pusty.

Napił się resztki napoju, jaka została przed wyjazdem i położył się na łóżku. Pomimo chaosu i bólu w jego głowie, wpadł w objęcia snu tak ciężko, jak kamień wpada w wodę.

*****

Obudził się nagle. Wycieńczony i zdenerwowany. Głodny. Samotny. Przypomniał sobie, dlaczego tak jest. Łzy znowu zaczęły napływać do oczu, natrętne i męczące, jak muchy, które ciągle krążą wokół głowy pomimo tego, że wciąż i wciąż się je odgania. Złapał za kołdrę i ścisnął ją, chciał ją zgnieść. Nie potrafił. Chciał krzyknąć, ale tylko otworzył usta, żaden dźwięk nie wydobył się z jego gardła. Skulił się i leżał tak, z zaciśniętymi dłońmi i otwartymi ustami. Zaczął uderzać w łóżko ze złości, w myślach zadawał, nie, wykrzykiwał komuś, sam nie wiedział komu, tylko jedno pytanie: dlaczego? Nikt nie odpowiadał.

Usłyszał czyjeś kroki na ganku.

Zdenerwowanie i gorycz natychmiast ustąpiły miejsca przerażeniu. Otworzył szeroko oczy i wpatrywał się w drzwi oczekując najgorszego. Dłonie zaczęły się pocić, w głowie zaczęło się kręcić, serce biło tak szybko i mocno, że ten ktoś na zewnątrz prawdopodobnie je słyszał. Pomyślał sobie, że to jest bez sensu, nie tak dawno uciekł śmierci, a teraz znowu musi stanąć z nią oko w oko, tym razem we własnym domu. Szybko zszedł z łóżka, by za nim się schować.

Ktoś zapukał kilka razy w drzwi, ale chłopiec nie odpowiadał. Kiedy się otworzyły, dom wyglądał na pusty.

Chłopiec spoglądał spod łoża, jak postać w brązowych, skórzanych butach z podłużnymi czubami spaceruje po jego domu.

- Jest tu kto? - ten głos go zdziwił, nie był to wstrętny głos najeźdźcy, który chce znaleźć i zabić, ograbić i zgwałcić, był to zachrypnięty głos młodej dziewczyny. Zrzuciła z siebie plecak, który - wnioskując z głośności upadku - był wypełniony po brzegi i ciężki.

Chłopiec nic nie odpowiedział. Obserwował buty, które chciały omamić go kobiecym głosem i które właśnie teraz stanęły do niego tyłem. Wychylił się zza łóżka.

Niedaleko niego stała postać w czarnej skórzanej kurtce i ciemnych, lekko obcisłych spodniach, które uwydatniały kobiecy kształt w małym stopniu zakryty kurtką. Na jej ramiona padały falowane na końcu, tylko trochę jaśniejsze od kurtki włosy. Dziewczyna szperała w komodzie, w której trzymane były ubrania. Nagle przestała i szybko odwróciła się w stronę chłopca. Widok tej twarzy zdziwił go, zaskoczył, z całą pewnością nie spodziewał się właśnie tego.

Była szczupła i podłużna, o jasnoniebieskich oczach, które nie były nawet zdziwione. Wyglądały tak, jakby się do niego uśmiechały. Dziewczyna, która wyglądała na starszą od niego o kilka lat, uśmiechnęła się i odgarnęła powoli kilka włosów zasłaniających twarz. Uśmiech nie był wymuszony, czy też sztuczny. Był serdeczny i szczery. Chłopiec nie potrafił przejść obok tego obojętnie, strach i nienawiść jakie w nim tkwiły, gdzieś się ulotniły ustępując miejsca jakiemuś nieznanemu uczuciu, które sprawiało, że poczuł się trochę lepiej i trochę raźniej, ale próbując pojąć co to za uczucie, od razu w jego głowie pojawił się obraz matki, której już nie było. Której nigdy nie zobaczy. Nie wiedział co się z nim dzieje, czuł, że zaraz znowu wybuchnie płaczem, nie chciał tego robić, choć jakaś jego cząstka mówiła mu, że nic się stanie, że akurat teraz może to zrobić.

- W porządku - powiedziała łagodnie dziewczyna - nie musisz się mnie bać. Nic ci nie zrobię. Myślałam, że dom jest pusty i będę tu mogła wypocząć. Twoi rodzice wrócą niedługo? Mogę im zapłacić...

- Moi rodzice - próbował skłamać, ale nie mógł, jego głos się załamał - moi rodzice wrócą niedługo i... - nie potrafił dokończyć, łzy zaczęły spływać po policzkach. Usiadł na łóżku i zasłonił twarz.

Dziewczyna przestała się uśmiechać i podeszła do niego. Nie zwracał już na nią uwagi, odpuścił wszystkiemu, teraz liczył się tylko on i jego ból, niesprawiedliwość jaka go spotkała i okropna samotność, na którą został skazany. Nie zauważył kiedy obok niego usiadła.

Uspokoił się na chwilę, dopiero kiedy go objęła.

Przyłożyła jego głowę do piersi tak, że poczuł ciepło jej ciała i bicie jej serca. Powoli gładziła go po włosach i szeptała, że wszystko będzie dobrze. Nie bronił się przed nią, czuł, że tak właśnie ma być. Zamknął oczy i także ją objął, ścisnął z całej siły, aż skórzana kurtka zaszeleściła, ale z powodu niewyjaśnionej nici porozumienia jaka się między nimi pojawiła, oboje wiedzieli, że wszystko, co się teraz dzieje, cały ten proces jest jak najbardziej naturalny.

On znów zaczął płakać, tym razem ze szczęścia, z ulgi jaka go ogarnęła, płakał głośno i spazmatycznie, mógł w końcu wydusić z siebie te emocje, tak jak chciał, wtulił się w jej pierś jeszcze bardziej, a ona tylko gładziła go po głowie, cały czas tak samo szepcząc, że wszystko będzie dobrze. Położyli się na łóżku w tym uścisku, oboje potrzebujący siebie nawzajem. Kiedy chłopiec w końcu mógł się uspokoić, zasnął momentalnie, odchodząc na chwilę od tych okropnych problemów, które znów powrócą, kiedy tylko się obudzi. Ale teraz to nie było ważne. Ważne było to, że tych dwoje odnalazło w tym momencie upragniony spokój. Spokój, który na pustkowiach nigdy nie trwa wiecznie.

*****

Kiedy się obudził, była przy nim.

Uspokoiło go to, myśl, że nie jest sam, że ma kogoś na kim może się oprzeć w takiej chwili, że może z kimś porozmawiać. Że może z kimś być. Objął ją trochę mocniej, ale starał się to zrobić tak, żeby się nie obudziła, chciałby się jakoś odpłacić za jej obecność i to był jedyny sposób w jaki mógł to teraz zrobić. Było w niej coś, co go uspokajało, jakaś niewidzialna siła, przez którą czuł się lepiej, bezpieczniej. Nie wiedział skąd i nie wiedział czemu, ale nie musiał tego wiedzieć, było to dla niego zupełnie niepotrzebne, ważne było to, że jest z nią, a ona jest z nim. Że dzięki jakiemuś niezwykłemu zbiegowi okoliczności przestąpiła przez próg jego domu i w nim została i jest w nim teraz. Miał nadzieję, że będzie w nim zawsze.

A jeśli nie?

Spojrzał na jej spokojną twarz, na którą opadały kosmyki włosów, piękną twarz, na którą mógłby patrzeć całe życie i nigdy niczego żałować. Nie, pomyślał, ona nie może mnie zostawić, ona nie może odejść. Ona by tego nie zrobiła. Przekonawszy o tym sam siebie, wzruszył się jej dobrocią i poczuł, że łzy znów zbierają się w oczach. Choć były tam one z radości, a nie smutku, szybko się otrząsnął. Przecież on nie może przy niej płakać, jest teraz jedynym mężczyzną w domu.

Faktycznie, jest jedynym mężczyzną w tym domu. Wcale nie czuł się dumnie, poczuł się jeszcze gorzej, powód przez który nim jest, był straszny.

Ale teraz tak jest i musi się z tym pogodzić, nie ma innego wyjścia, musi. Nie może już płakać. Nie może narzekać na polowania. Nie może spędzać dni na zabawie. Musi się opiekować domem. Musi się opiekować dziewczyną.

Odwróciła głowę w jego stronę, włosy opadły z twarzy odsłaniając ją.

- Nigdy więcej nie będę płakał - wyszeptał do niej chłopiec - Będę się tobą opiekował. Obiecuję.

Znów ścisnął ją delikatnie dziękując jej za obecność. Położył się i już miał zamknąć oczy, kiedy zauważył, w jakim stopniu jej skórzana kurtka jest rozpięta. Koszula z niskim dekoltem sprawiała, że pod kątem na jakim znajdował się chłopiec, doskonale widać było jej lewą pierś. Krew uderzyła do jego głowy. I do rąk. I do czegoś jeszcze, o czym nie chciał myśleć.

Poczuł się przez to źle, jakby brudził coś nieskazitelnego, jakby czynił zamach na coś świętego. Zacisnął oczy i zaczął sobie powtarzać, że jeśli je teraz otworzy będzie nikim. Powtarzał to, wykrzykiwał w swojej głowie, ale mimo to, powieki - ciężkie jak ołów - podniosły się powoli. Okrągła, śnieżnobiała pierś stanęła przed jego oczami, ale tylko na chwilę, od razu zacisnął je jeszcze mocniej i powiedział, że był to ostatni raz. Niestety nie był. Lecz teraz spojrzał na nią inaczej, nie jak na część świętości, tylko jak na coś pięknego, co zostało stworzone do podziwiania. W błogim zadowoleniu podziwiał więc, jak w rytmie powolnego oddechu unosi się i opada. Kiedy dziewczyna westchnęła, odwrócił wzrok, był pewien, że się obudziła. Nie mylił się. Uśmiechnęła się i pogładziła go po głowie. Spojrzał na nią.

Jej uśmiech, choć miły dla oka, był tak naprawdę smutny, jakby był obarczony jakąś okropną nowiną, czymś, co przyniesie nieuchronne cierpienie i żal. Żadne z nich nie chciało o tym myśleć, patrzyli sobie w oczy i jedyne czym się przejmowali to dziś, teraz.

- Wiesz - zaczęła dziewczyna - mam ochotę na ognisko. Zobacz, już jest ciemno. Rozpalałeś kiedyś ognisko w nocy?

- Tak, kilka razy. Tata lubił opowiadać wtedy różne historie. - wspomnienie o ojcu wywołało nieprzyjemną falę obrazów z przeszłości. Przeszłości przecież tak niedalekiej, a tak już odległej. Przecież jeszcze wczoraj jadł z nim śniadanie popijąc je urodzinowym napojem gazowanym. Urodzinowym. Wczoraj były jego urodziny. W dzień, w który się urodził, umarli jego rodzice. Jak on mógłby obchodzić następne?

- Wczoraj były moje urodziny... - wyartykułował przez przypadek swoje ponure myśli. Na pewno wczoraj? A może to wciąż dzisiaj? Ile czasu spał?

- Tak? No to tym bardziej musimy rozpalić ognisko. Na wszystkiego najlepszego. Zaraz je przygotuję, poczekaj chwilę.

I wyszła razem z ciężkim plecakiem, który w jej ręce nie wyglądał na taki ciężki.

Chłopiec poczuł się trochę głupio. To on był mężczyzną, on powinien się tym zająć, a nie ona. To on miał się nią opiekować, a nie ona nim. Co z tego, że jest od niego starsza?

Wziął kilka szczap, które niedawno ojciec ułożył w perfekcyjny stożek i wyszedł za dziewczyną na dwór.

Noc była taka, jaki był poprzedzający ją dzień - bezchmurna i ciepła, z wyjątkiem wielu wesoło połyskujących gwiazd układających się w jej naszyjnik. Okrągły Księżyc wisiał na niewidzialnej nitce ponad drzewami delikatnie posrebrzając ich wierzchołki.

- Hej, mówiłam, żebyś poczekał!

- Tak, ale nie mogę tam siedzieć, kiedy ty pracujesz.

- Dżentelmen, co? - dzięki uprzejmości Księżyca, mógł wyraźnie zobaczyć, że się uśmiechnęła. W objęciach jego srebrnego deszczu wydawała się być jeszcze piękniejsza niż w domu.

- Dżentelmen? - zapytał chłopiec, nie wiedział, co to znaczy.

- Tak. Ktoś taktowny i miły.

Teraz uśmiechnął się chłopiec - poczuł się bardzo wyróżniony.

Podszedł do małego kręgu ułożonego z kamieni i zaczął układać szczapy, jedna na drugiej w kształcie czworokąta. Dziewczyna szukała w tym czasie różnych suchych liści i innych łatwopalnych rzeczy, które nadawałyby się na rozpałkę. Kiedy wszystko było już przygotowane, sięgnęła do plecaka i wyjęła małe pudełeczko.

- To o wiele wygodniejsze od krzemienia.

Zapaliła jedną zapałkę i zaraz potem paliło się też całe ognisko.

- To sto lat! - chłopiec był w coraz większym podziwie możliwości jej plecaka. Wyglądało na to, że ona ma tam wszystko: tym razem wyjęła dwie butelki napoju gazowanego i dwie puszki zakonserwowanych brzoskwiń.

- Muszę przyznać - zaczęła kiedy zjedli brzoskwinie - że ludzka chciwość ma też swoje dobre strony, choć za bardzo jej nie rozumiem.

- Dlaczego?

- Gdyby komuś aż tak nie zależało na pieniądzach, nie mielibyśmy teraz czym uczcić twoich urodzin. Tych rzeczy nie robią już od dawna, a my jednak je mamy, to znaczy mieliśmy. Przechowywałbyś je, żeby komuś sprzedać, czy byś je zjadł?

- Raczej bym zjadł.

- Ja też. Ale ludzie wolą mieć niż być. Są tacy dziwni.

Chłopiec z jednej strony się z nią zgadzał, ale z powodu jej generalizacji uznał, że ten osąd tyczy się też i jego. Trochę go to zdenerwowało.

- Mówisz tak, jakbyś sama nie nie była człowiekiem.

Zaśmiała się - To przez tę noc. W taką gwiaździstą noc do głowy przychodzi wiele myśli. Kiedy tak patrzy się na gwiazdy, na te małe świecące kropki oddalone o setki tysięcy kilometrów, aż chce się zastanawiać nad paroma rzeczami. Nad swoim celem, nad swoim znaczeniem. Jeśli pomyśli się, że niebo jest nieskończone, a takich gwiazd jest niewyobrażalnie dużo, to zadaje się sobie jedno pytanie: Czy ja coś znaczę? Czy ja coś mogę zmienić? świat jest taki ogromny, a ja taka mała... A przecież nie jestem nawet w stanie zwiedzić całej Ziemi. To czy moje istnienie w tak wielkim oceanie ma jakiekolwiek znaczenie? Czy sama muszę je sobie nadać?

- Znalazłaś jakąś odpowiedź?

- Nie. Jeszcze nie. Ale kiedyś chyba znajdę. Życie musi mieć jakiś sens. Inaczej byłoby zbędne. A jeśli jest zbędne, to dlaczego cały czas o nie walczymy? - spojrzała do góry i westchnęła - Jesteśmy tacy mali.

W głowie chłopca dźwięczały jej słowa. Zbędne? Czy życie jego matki i jego ojca było zbędne? Też o nie walczyli. I przegrali. Ale on za nimi tęskni, dla niego nie byli zbędni. Dla niego byli najważniejsi, a teraz ich nie ma.

- Ktoś cię obgaduje. - zauważyła ni stąd, ni zowąd dziewczyna.

- Słucham?

- Ktoś cię obgaduje, masz czerwone uszy.

Ktoś go obgaduje? Ale kto?

Bandyci?

Wiedzą, że przeżył. Może chcą zabić i jego.

- Przynajmniej tak mawiała moja babcia. - dodała, jakby czytając w jego myślach. - Ja w to za bardzo nie wierzę.

- Ja swojej babci nie znałem. Umarła zanim się urodziłem.

- Lubiłam rozmawiać z babcią, była bardzo mądrą osobą. Wolałam rozmawiać z nią niż z rodzicami.

- Dlaczego?

- Nie umiałam się z nimi dogadać, chyba nawet ich nie lubiłam. Bardziej od nich chyba tylko swojego głosu nie lubię. Mówię cały czas tak, jakbym miała chrypę.

- Nie zauważyłem. - wypalił od razu chłopiec. Skłamał, zauważył to od razu i jej głos bardzo mu się podobał, ale chciał być dla niej miły.

- Tak? - zapytała mrużąc oczy z uśmiechem. - Może po prostu teraz tego nie słychać.

- Nic nie słyszałem od samego początku.

- No cóż, może to też przez tę noc. - spojrzała w niebo po raz kolejny. Tym razem jej uwagę zwrócił świecący Księżyc. - Słyszałam, że podczas pełni niektóre wilki potrafią zmienić się w człowieka i spędzić tę noc wśród ludzi.

- Mam nadzieję, że to nieprawda.

- Dlaczego?

- Spotkałem ostatnio wilka i mam nadzieję, że nie spotkam go drugi raz. To był czarny wilk.

- Ale chyba go nie zabiłeś?

- Nie. Nienawidzę zabijania, ale bardzo możliwe, że tego byłbym w stanie zabić. Czarne wilki przynoszą pecha. Ten przyniósł mi nieszczęście.

- Naprawdę uważasz, że to wina czarnego wilka?

- Nie wiem. Może jestem po prostu zły i przestraszony. Boję się tego wilka. Nie chcę spotkać go drugi raz. Nie wiem co się wtedy stanie. Ze mną, z tobą.

- Myślę, że nic się nie stanie. Pewne rzeczy dzieją się, bo musiały się zdarzyć. Myślenie, że to wina czarnego wilka, czarnego kota, czy zbitego lustra to głupota.

- Może masz rację. Ale mimo wszystko nie chciałbym żebyś go spotkała. Ja go spotkałem i - chłopiec musiał przerwać; czuł, że do oczu napływają łzy, a przecież obiecał, że płakać nie będzie.

Na chwilę zapanowała cisza i słychać było tylko trzaskający ogień.

*****

Ognisko zaczynało powoli dogasać, tak jak i siła chłopca by przy nim siedzieć. Zresztą, noc także powoli nabierała jaśniejszego koloru. Ale chłopiec jednak zdecydował, że odejdzie dopiero kiedy będzie musiał. Chciał jeszcze posiedzieć z dziewczyną, bo nie wyglądało na to, że razem z nim poszłaby do domu, gdy gwiazdy wciąż świeciły, choć słabszym blaskiem.

Nagle zdał sobie sprawę, że ona tu nie zostanie. Może jeszcze na tę noc, na następny dzień, ale nie na zawsze. Spojrzał na nią.

Leżała na trawie i patrzyła w niebo poszukując odpowiedzi na pytania znane tylko jej. Czarne włosy leżały w nieładzie na splecionych pod głową rękach. Co jakiś czas mrużyła swoje jasnoniebieskie oczy, po czym unosiła ciemne brwi. Ustami bawiła się wyrwanym źdźbłem trawy. Oddychała powoli unosząc co jakiś czas przeponę. Noga założona na nogę podrygiwała w swoim własnym, powolnym rytmie.

To, co widział fascynowało go, przejmowało jak nic innego. Choć wszystko to, co robiła, było czymś zwyczajnym, w jej wykonaniu zamieniało się w magię, widok niesamowity i nieprzeciętny, jakby boski taniec, który wprowadzał w odmienne stany świadomości. Przez samo to, że mógł tak na nią patrzeć, być obok niej, czuł się wyróżniony, jakby dostąpił zaszczytu danego tylko niewielu wybranym. Czuł się lepszym człowiekiem, chciał być lepszym człowiekiem, aby być godnym przebywania w jej obecności.

Odwróciła się do niego i - po raz nie wiadomo który - uśmiechnęła się - Ognisko zgasło. Chyba już pora iść spać.

Chłopiec tylko przytaknął, nie myślał o sobie jako o kimś, kto mógłby się jej sprzeciwić. A poza tym był już śpiący.

Kiedy szli w stronę domu, złapał ją za rękę.

Weszli do środka, chłopiec poszedł w stronę łóżka, dziewczyna wciąż stała przy drzwiach.

- Nie mogę tutaj zostać na tę noc. Nie mam czasu. Ale było mi miło, mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Chłopiec musiał usiąść, nogi na chwilę osłabły, ale nie postarał się, żeby tego nie zauważyła. Sam nie wiedział dlaczego.

- Mnie też było miło - głos mówił za niego, nie miał nad nim władzy. - Do zobaczenia.

Siedział na łóżku i patrzył jak ona odchodzi. Zdał sobie sprawę, że szanse na ponownie zobaczenie jej są bardzo nikłe. Zdał sobie sprawę z tego, co powiedział i nie mógł w to uwierzyć.

Zostań.

Ona nie może tu zostać, sama mówiła. Nie zostanie, po co jej to mówić.

Zostań.

Przestań, przecież wiesz, że to nie ma sensu.

Zostań. Proszę.

Zamknij się, nie płacz! Nie będziesz teraz płakał, obiecałeś sobie! Obiecałeś jej.

- Zostań. - cichy dźwięk jego głosu przetoczył się po pokoju jak lawina, atmosfera w nim panująca zaczęła go przygniatać, spuścił wzrok, jakby powiedział coś złego.

Ona tylko odwróciła się trzymając rękę na klamce, chciała się uśmiechnąć, ale nie mogła. Spojrzała na niego swoimi niebieskimi oczami, które teraz zdawały się zmienić kolor na o wiele bardziej ciemniejszy.

- Nie mogę.

- Zostań - ścisnął kołdrę - proszę.

Nie śmiał na nią patrzeć, wiedział, że może przez to zacząć płakać.

Dziewczyna zrozumiała, o co tak naprawdę chodziło chłopcu, zdjęła rękę z klamki, odstawiła plecak i usiadła obok niego na łóżku. Kiedy ułożył się do snu, położyła mu czule rękę na głowie, jak zwykła robić jego matka.

- Zostanę. Nie martw się, zostanę. - skłamała tak wspaniale, z takim artyzmem, że niemal jej uwierzył. Ona sama prawie w to uwierzyła.

Gdy w końcu spokojnie zasnął, lekko musnęła ustami jego policzek, wzięła swój plecak i wyszła po cichu nie zostawiając po sobie niczego oprócz bolesnego wspomnienia najwspanialszych chwil w jego życiu.

*****

Obudził się. Sam.

Rozejrzał się, ale w domu nigdzie jej nie było. Jego ciało nagle zrobiło się ciężkie, jakby coś wielkiego przygniatało je do ziemi. Choć wiedział, że właśnie tak będzie, dziwne uczucie pustki, które go ogarnęło, było niewiarygodnie potężne. Zrozumiał, że już nigdy więcej jej nie zobaczy.

Nic po niej nie zostało. Dom wyglądał tak samo, jak przedtem. To wszystko równie dobrze mogło się nigdy nie wydarzyć. Nie zostawiła po sobie żadnych dowodów istnienia. A jeśli to wszystko było tylko długim snem? Jeśli on dopiero teraz się obudził po tym, jak uciekł od bandytów? A co jeśli go śledzili? Tropili jak i on wiele razy tropił zwierzynę z ojcem?

Ale to uczucie, to, co ona zostawiła w nim samym, było zbyt piękne i zbyt bolesne, aby było nieprawdą. Ona tu była.

Ale już nigdy jej tu nie będzie.

Wyjął spod poduszki książkę szukając ukojenia w uśmiechu orchidei. Ale zanim to zrobił, usłyszał kroki na ganku. Odciążyły one jego serce, westchnął z ulgą; znów wszystko jest w

porządku. Uśmiechnął się do siebie, nie wierzył, że coś takiego mogło mu się przytrafić dwa razy w życiu.

Wszystko to minęło, kiedy usłyszał, więcej kroków niż powinien był usłyszeć. Złapał książkę i schował się za łóżkiem.

Do domu weszły dwie pary butów, żadne nie należące do niej. Ich właściciele mówili męskimi głosami.

- Widzisz tu coś wartościowego?

- Nie bardzo.

- Sprawdź w tej szafie.

Kiedy oddalili się od wejścia, przerażony chłopiec zdecydował, co zrobi. Chwycił pewniej kieszonkową encyklopedię, przeskoczył przez łóżko i wybiegł z domu.

Usłyszał huk strzału i poczuł jak coś małego i gorącego przeszywa jego lewe ramię. Upadł i wypuścił z rąk swoją książkę, która poszybowała do przodu. Leżąc na ziemi czuł palący ból w ramieniu, ale nie płakał, wiedział, że nie może, nie po tym, co jej obiecał. Po prostu nie może.

Na ziemi pod sobą poczuł coś mokrego i ciepłego. Spojrzał w dół i zobaczył krew. Swoją krew. Jego głowę przeszył impuls strachu i wtedy zrozumiał. Ręce nagle stały się zimne i wilgotne, a w brzuchu osiadło coś ciężkiego. W oczach pojawiły się łzy. Zdenerwowany i przerażony szybko przetarł je zdrową ręką. Zdał sobie sprawę, że zawiódł ją, nie dotrzymał obietnicy, nie udało mu się, leży tu i płacze, całkowicie załamany. Starał się, naprawdę się starał, przecież nie chciał nigdy więcej płakać, przecież powiedział, że nigdy więcej nie będzie płakać. Więc dlaczego łzy wciąż lecą? Dlaczego nie chcą się zatrzymać, dlaczego on nie potrafi ich zatrzymać?

Dlaczego?

Przygryzł zęby w poczuciu ciężkiej przegranej. Zaciśnięta prawa ręka zaczęła drżeć, lewa leżała bez ruchu, nie miał już w niej czucia; twarz zniekształcona przez ból, jaki teraz odczuwał wyglądała okropnie. Łzy wciąż leciały z jego oczu w coraz większym potoku. Wiedział, że ją zawiódł, zawiódł jedyną osobę, którą tak kochał. Ten czas, który z nią spędził, przecież to były najwspanialsze chwile w całym jego życiu, a on nie potrafił się za nie odwdzięczyć, nie potrafił dotrzymać tak ważnej obietnicy. To, co mu się przytrafiło już nigdy się nie powtórzy, a on pozwolił wszystkiemu pójść na marne. Cała złość, jaka go teraz ogarnęła, uaktywniła adrenalinę, która teraz płynęła przez jego ciało. Zapomniał o bandytach, zapomniał nawet o bólu, zaczął po prostu nienawidzić samego siebie. Ale wiedział, że umrze i nic na to nie poradzi. Nic mu nie pozostało. Tymi łzami, które teraz wymieszały się z jego krwią, odrzucił miłość i wspomnienia, które od tamtej pory były dla niego wszystkim. Zwykła nienawiść przerodziła się w pogardę. Za płacz, za słabość. Zaczął

myśleć, że zasługuje na śmierć, ktoś taki, jak on nie zasługuje na życie; kto by go teraz chciał? Chyba tylko orchidea.

Poszukując zrozumienia u jego najbliższej przyjaciółki, wstał i zaczął iść do książki, w takim tempie, na jakie pozwalał ból i coraz większy brak sił. Nie zwrócił uwagi, a może nawet już się tym nie przejął, kiedy bandyci do niego podeszli.

- Mo, mo, moja - powiedział na głos, idąc z uporem do swojej książki.

- Twoja co? - zapytał jeden z bandytów ze śmiechem.

- Moja - powiedział chłopak z naciskiem i padł na kolana przy książce, otworzył ją i zaczął szukać ulubionej strony - Moja Orchidea.

Cały czas siedział do bandytów plecami, w końcu znalazł stronę, której szukał. Widząc swój kwiat, odetchnął z ulgą, jakby pogodził się z tym, co ma nadejść. Zobaczył w nim wszystkie chwile jakie z nią spędził.

Kiedy patrzył na nią w czasie snu.

Kiedy z nią rozmawiał.

Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy.

Kiedy uśmiechała się do niego.

Kiedy go objęła.

Kiedy złożył jej obietnicę.

Zamknął załzawione oczy z ogromną goryczą. Bandyta spojrzał z uniesionymi brwiami na drugiego, a ten wzruszył tylko ramionami. Wycelował w chłopaka i nacisnął spust. Prawdę mówiąc, chłopiec nie zdziwił się na widok orchidei, która w końcu wyciągnęła do niego swoje płatki, złapała go za rękę i z wciąż sympatycznie wystawionym językiem wciągnęła do książki.

Ból w ramieniu zniknął, a on leżał na miękkiej trawie, pośród bezkresnych pól orchidei. Wstał i spojrzał na niebo. Było takie, jakie lubił najbardziej, Słońce było już nisko, przez co chmury mieniły się różnymi kolorami, jedne były już niebieskie, inne jeszcze różowe. Spojrzał w przeciwną stronę i zobaczył świecące gwiazdy zanurzone w granatowej toni nieba. Przypomniał sobie, że były właśnie takie, kiedy spędził z nią tamtą noc. Ale najlepsze zostawił na koniec. Kucnął i ostrożnie zerwał jedną orchideę, w miejscu której szybko wyrosła nowa. Kiedy zasmakował jej delikatnej woni, wszystko było dokładnie takie, jak sobie wyobrażał.

Jego płuca wypełniła radość, jakby nią oddychał, klatka piersiowa stała się lekka, a fala ciepła i zadowolenia przeszła od płuc do każdego z jego członków, odciążając ciało od wszystkiego. I z tą lekkością zaczął powoli unosić się do góry, wyżej i wyżej, aż pola orchidei zaczęły

zmieniać się w podłużne, kolorowe pasma ozdabiające ziemię, aż w końcu stały się tylko fioletowymi plamkami; wyżej i wyżej, gdzie w końcu wylądował w ciemnej toni, o której marzył od dawna, pływał w niej jak w wodzie, tylko że z niesamowitą lekkością; mógł zobaczyć gwiazdy, tak, wokół niego krążyło milion gwiazd, a on wokół nich, każda świeciła jasnym blaskiem wprost na niego, granatowoczarna pustka wypełniona wodą pełna była niesamowitych kształtów, które błyszczały dla niego; wyżej i wyżej, aż i one stały się tylko jarzącymi się punktami, które widział już wcześniej; wyżej i wyżej, aż poczuł niesamowite ciepło, spojrzał w górę i zobaczył Słońce, którego blask niemal go oślepił, ale na tle tego blasku ujrzał znajomą sylwetkę, do której zbliżał się cały czas, do której lgnął już tak długo; wyżej i wyżej; aż jasność stała się tak silna, że musiał przymknąć oczy i ostatnią rzeczą, jaką zobaczył zanim ogarnęła go ta niesamowita światłość, były jej rozpostarte ramiona.

Uśmiechnął się.

Właśnie w tej chwili odnalazł upragniony spokój. Spokój, który został mu brutalnie odebrany, a którego szukał przez całe życie. Spokój, którego nikt już mu nie odbierze. Nigdy więcej.

A gdzieś na pustkowiach, gdzie chłopca już dawno nie było, ktoś łudząco podobny do niego klęczał nad książką z ręcznie malowanymi kwiatami, wpatrzony w nią nieobecnym wzrokiem. Krew z jego klatki piersiowej nagle trysnęła na obrazek orchidei, a on sam upadł bezwładnie na ziemię.

Orchidea uśmiechała się cały czas, kiedy strużka czerwonej krwi spływała powoli po jej fioletowych płatkach.

© 2008 kaznodzieja_nowej_ery